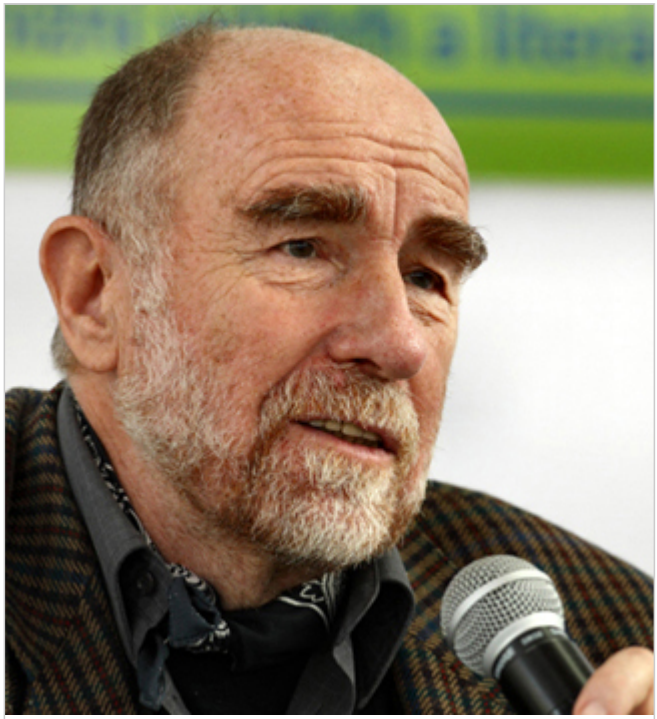
„Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila” Ivana Binara: Podróż przez komunistyczne inferno

Barbara Lekarczyk-Cisek

„Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” Ivana Binara jest fascynującą, szkatułkową opowieścią o tym, jak komunistyczny totalitaryzm głęboko niszczył ludzi oraz łączące ich więzi.



Ivan Binar, fot. wikipedia

Niech nikogo nie zwiedzie mający pozytywne konotacje tytuł powieści czeskiego pisarza Ivana Binara. Jego nawiązania do powieści przygodowej mają ukryte dno – są ironiczne: to raczej podróż przez piekło, choć nie opatrzono jej mottem z Dantego, ale cytatem z „Przygód dobrego wojaka Szwejka” Jaroslava Haška. Tym nie mniej jest to podróż fascynująca. Zmieniają się jej przewodnicy, a każdy z nich próbuje opisać świat pełen grozy i absurdu. Ale cóż to są za narratorzy! Jaka wyobraźnia! Blisko 400-stronicowa powieść Ivana Binara trzyma w napięciu od pierwszych scen po ostatnie.

Początek i koniec Wieńczysława Pawia – poety i podróżnika

Autorem wstępu i zakończenia powieści (pisanym kursywą dla odróżnienia od pozostałych narratorów) jest Wieńczysław Paw – poeta i podróżnik, jak zwykł się przedstawiać. Podróżnikiem zostaje się po przejściu przez… szafkę na narzędzia w elektrowni Zwycięski Luty, podobnie jak Alicja przechodziła przez taflę lustra. Z lustrem się nie udało, z szafką tak. Z przygód Pawia po drugiej stronie szafki powstała opowieść poprzetykana jego wierszami, która po śmierci przyjaciela została wysłana (wraz z szafką) przyjacielowi, który przebywał wówczas na emigracji w Wiedniu. W ten sposób Wieńczysław Paw stał się naszym przewodnikiem po „drugiej stronie świata", którą rządzi absurd. Co odkrył? O tym można się dowiedzieć z siedmiu rozdziałów powieści.

Walka Václava Netušila o nieżycie

Pierwszy spośród nich jest opowieścią o człowieku, który za nic nie chciał przyjść na świat, jakby wiedział, że nic dobrego go na

nim nie spotka. Sama scena narodzin jest przedstawiona z iście czeskim humorem. Otóż jest zima, na zimnej kuchni siedzi ojciec mającego narodzić się bohatera, toteż nie można rozpalić ognia. Prośby służącej puszcza mimo uszu i już trzeci dzień siedzi tak z kotką Čičą (która odegra w powieści istotną rolę) i gra na oboju prostą melodię. Będzie ją grał także później, kiedy narodzony już syn i żona będą go raz do roku odwiedzać w zakładzie psychiatrycznym. Jego choroba jest raczej ucieczką do innego, spokojnego świata, w którym wszystko jest przewidywalne.

Ale wracając do sceny porodu, jest ona iście dantejska. „Nieurodek", jak go określa narrator, protestuje i walczy, szarpiąc się tak skutecznie, że doktora odrzuca daleko. Z sypialni, gdzie rozgrywa się akcja porodowa, poprzez obszerną sień, wpada do kuchni, otwierając w ten sposób drogę

> *Pastuchom, złym duchom* (tekst melodii) do łona rodzącej oraz do nienarodzonych jeszcze uszu Václava Netušila, który zdecydowanie opierał się naciskom.

Ale ponieważ walka otumania i czyni z istoty rozumnej nieomal szaleńca, doktor nie daje za wygraną i nie przyjmuje argumentów malca przeciw narodzinom, które w innych okolicznościach może by do niego dotarły. I mimo że Václav bił się o nieżycie – o prawo do nieistnienia, przegrał z kretesem i

wydał ostatecznie „pełen bólu krzyk człowieka skazanego na życie”, zagłuszając nim nawet monotonne dźwięki oboju.

Dlaczego narrator zdecydował się uczynić go bohaterem swojej opowieści? Otóż dlatego, że – jak mówi wprost – „stał mu się bliski w nieprzychylnych czasach, ponieważ był światełkiem w mroku”… Václav Netušil to inna twarz Wieńczysława Pawia oraz – jak się okaże na końcu powieści… Nie, nie zdradzę zakończenia!

Wędrówki rowerem dookoła świata

Powieść Binara ma szkatułkową strukturę, w obrębie której znajdziemy opowieści kilku narratorów, w tym historię samego pisarza, ale najciekawsze są fragmenty rękopisu Pawia. Choć narratorzy mają różne doświadczenia życiowe, opowiadają różnymi (w sensie stylistycznym) językami, to łączy ich jedno: próbują opisać opresyjny, komunistyczny świat, którego *de facto* opisać się nie da, tak jest absurdalny. Chłopczyk „z dobrej rodziny”, w marynarskim ubranku, dorastający w dostatku, choć bez ojca, musiał jakoś sobie poradzić w świecie, w którym można było „za nic” znaleźć się w więzieniu, gdzie poddawano delikwentów psychologicznej i fizycznej „obróbce”, zaś na

wolności alternatywą było wojsko, a następnie praca w kopalni. Studia – tylko w przypadku odpracowania „na dole” kilku lat, a w praktyce – gdy podpisało się zgodę na współpracę z tajnymi służbami. A jednak niektórzy akceptowali ten stan rzeczy i próbowali się dostosować i „urządzić”. Na Nowej Fajdlandii (nazwa znacząca) ludzie mieszkają w okropnych warunkach, w malutkich mieszkaniach. Mężczyźni są impotentami i siedzą całymi dniami w kuchni jedząc różne wzdymające pokarmy. Ubrani w tzw. pierdzistry, „produkują” gaz i dostarczają go do wiatrowni, a ta przerabia go na energię elektryczną. Wieńczysław Paw – podróżnik i badacz obcych kultur postanawia opisać także i to ciekawe doświadczenie. Dodajmy, że na Nowej Fajdlandii panuje system totalitarny. Obywateli pilnują urzędnicy Głównego Urzędu Wewnętrznej Naprawy, zwanego w skrócie GUWNO.

Václava Netušila żywot podwójny

Kiedy Václav Netušil nie jest Wieńczysławem Pawiem, dopada go rzeczywistość o wiele gorsza, niż przygody na obcej ziemi, choćby była nią Fajdlandia. Więziony, nakłaniany do współpracy, gwałcony i zamykany w karcerze, w końcu godzi się na współpracę i pisze taki oto autodonos:

> Osadzony Netušil Václav, numer 08157 5288, prowadzi przygotowania do ucieczki z więzienia. W tak zwanym czasie wolnym prowadzi rozmowy z gołębiami zamieszkującymi dachy zakładu karnego na Borach, będącymi własnością socjalistycznego państwa i namawia je do współudziału w czynie przestępczym, tj. opuszczenia wraz nim miejsca odbywania przezeń kary. (…) O swoich planach opowiedział oswojonej myszy Krystynie, zamieszkującej warsztat, z którą utrzymuje kontakty, wbrew postanowieniom regulaminu. Wspomnianej Krystynie obiecał, że zabierze ją ze sobą, jeżeli ta nauczy się służyć, czyli siedzieć na tylnych łapkach, machając przednimi.

Przytoczyłam ten obszerny fragment nie tylko po to, aby przyszły czytelnik powieści mógł uchwycić ten rodzaj humoru, który jest charakterystyczny dla całej tej powieści. Chodzi o coś więcej: absurdu nie da się opisać inaczej, jak właśnie językiem absurdu, nie ma w nim bowiem żadnej ludzkiej logiki. Nieludzki świat rządzi się swoimi prawami, których pojąć nie sposób. Niekiedy brakuje jednak słów, aby go opisać i w takiej sytuacji autor tworzy nowe słowa, jak choćby wspomniany już „pierdzistry” (połączenie kanistrów z pierdzeniem) czy „pszczowa” (kontaminacja pszczoły i krowy). Tym większe uznanie należy się tłumaczce tej niełatwej prozy, Dorocie Dobrew, która stworzyła w języku polskim stosowne odpowiedniki.

Śmierć bohatera

Śmierć Wieńczysława Pawia vel Václava Netušila jest czymś, co musi nastąpić. Na koniec przyznaje, że jego wędrówka była ucieczką przed tzw. rzeczywistością i przed sobą. Nie żałuje życia – nareszcie zazna spokoju. Ale pomimo to – już pod postacią pięknego motyla: rusałki żałobnika – nadal poszukuje odpowiedzi na dręczące go pytania. Chce je zadać swojemu „osobistemu upiorowi" – oficerowi SB:

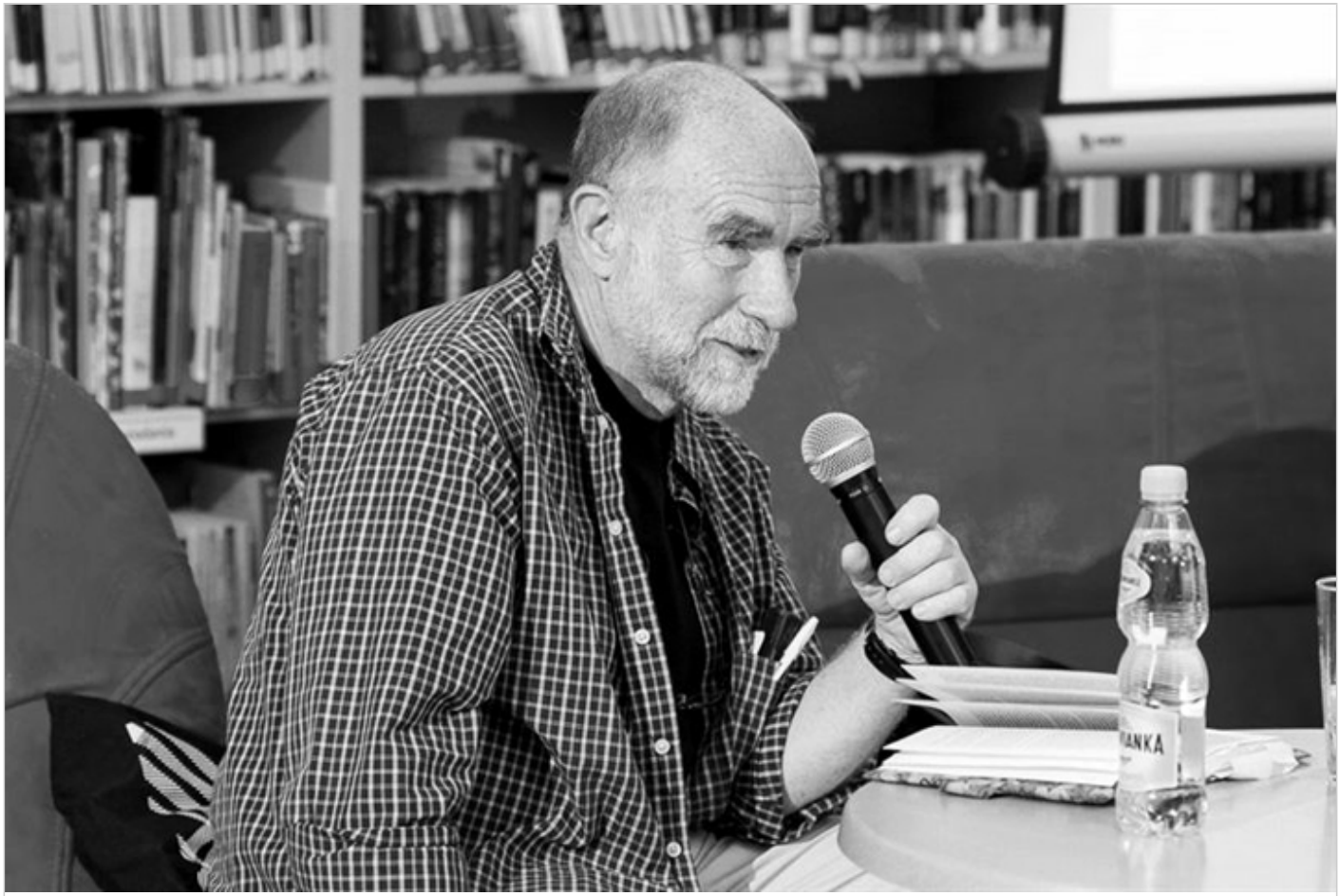
> Co dobrego mogło wyniknąć z łamania ludziom charakterów, z manipulowania nimi, z prześladowania ich i niszczenia? Jaki sens miało krzywdzenie bliźnich, na co się to komu zdało?

Zamiast odpowiedzi spada na motyla miażdżąca łapa przedstawiciela tajnych służb i dusza nieszczęśnika rusza w dalszą drogę przy dźwiękach znanej od dnia narodzin melodii: „Pastuchy, złe duchy, wyście naszą wykę, wyście naszą grykę wypaśli…".

Powieść Ivana Binara „Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” jest fascynującą, szkatułkową opowieścią o tym, jak komunistyczny totalitaryzm głęboko niszczył ludzi oraz łączące ich więzi. Próba opisu tego absurdalnego świata, poprzez różne narracje, pozwala wniknąć w mechanizmy nim rządzące i zrozumieć ogrom krzywd, które wyrządzono zupełnie niewinnym ludziom, nigdy im niczego nie rekompensując ani nawet nie ujawniając całej prawdy.

> Czekałem na to – pisze z goryczą autor, który poznał wprawdzie listę donosicieli, ale też odkrył, że wiele dokumentów „zaginęło” – aż nowi, prawdziwi przedstawiciele narodu, wybrani w wolnych wyborach, odkryją prawdę, bo **bez prawdy nie istnieje sprawiedliwe, demokratyczne społeczeństwo.** Winnych trzeba wymienić z nazwiska, dopiero potem można odpuszczać winy.

Powieść Ivana Binara: „Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” ukazała się w Wydawnictwie Amaltea, w przekładzie Doroty Dobrew.



Ivan Binar, fot. kukatko,pl

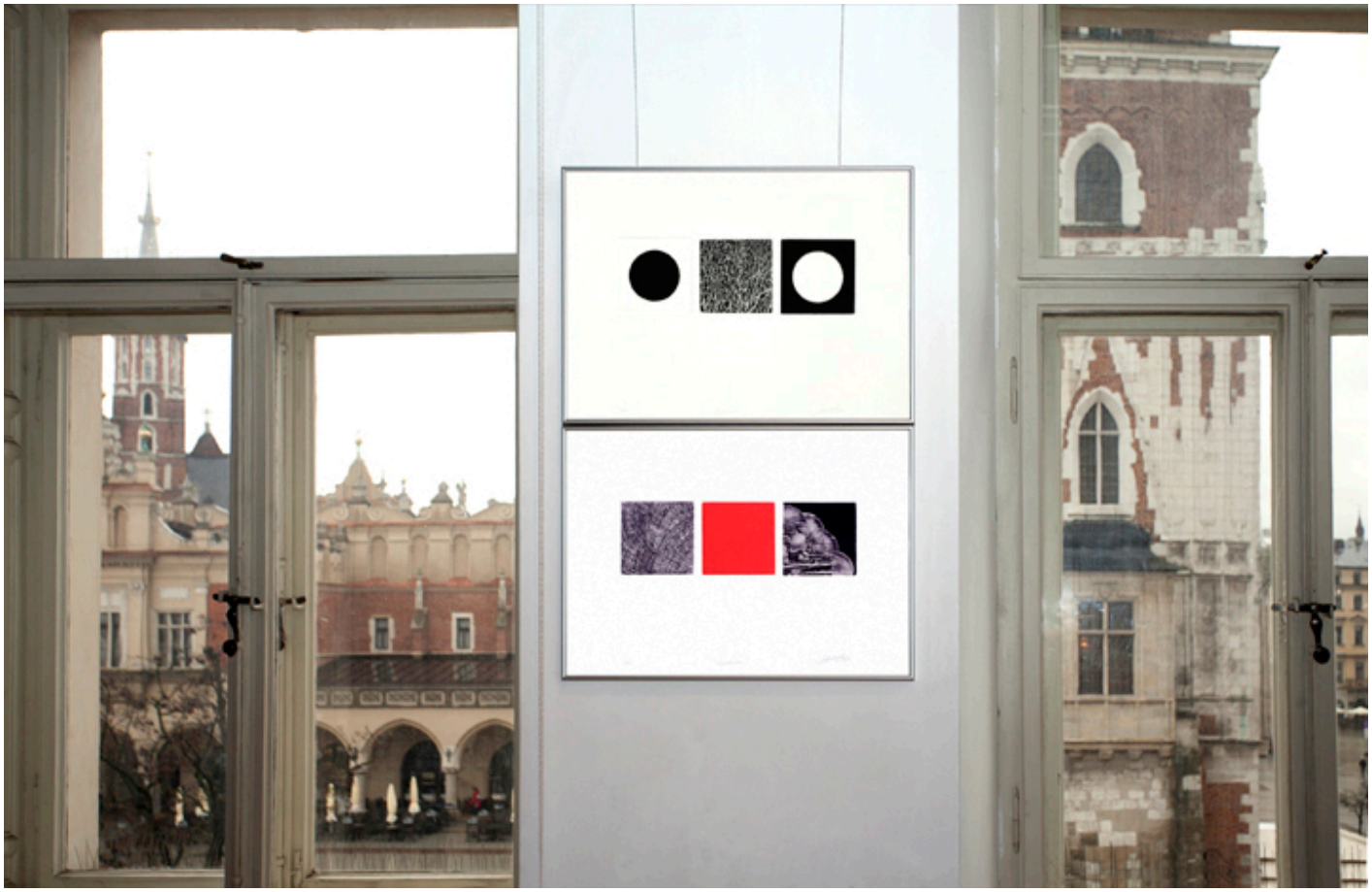
Ivan Binar

Urodzony w 1942 w Boskovicach. Ukończył filologię czeską, historię oraz wychowanie plastyczne w Instytucie Pedagogiki w Ostrawie. Pracował jako nauczyciel, redaktor naczelny czasopisma Tramp i współpracował z teatrem. W latach 1971-1973 był więziony za podżeganie do buntu. W 1977 roku wyemigrował do Wiednia, gdzie utrzymywał się pracując jako

tłumacz i konserwator ceramiki. Po sześciu latach przeniósł się do Monachium, gdzie pracował w redakcji Wolnej Europy. W 1994 roku wrócił do Pragi. Jest autorem czternastu książek. Pisze książki dla dzieci (ostatnio „Królik Fiala“, 2012) oraz dla dorosłych („Tylko smuga na niebie“, 2013).

www.kukatko.pl

Kod natury – wystawa Leszka Wyczółkowskiego w Krakowie



Międzynarodowe Centrum Sztuk Graficznych

Rynek Główny 29, Kraków

10.05.2017 – 30.05.2017

Leszek Wyczółkowski urodził się w Zielonce, koło Warszawy. Od wczesnych lat wykazywał zainteresowania literaturą i sztukami plastycznymi. W tych ostatnich pomagał mu jego ojciec, Witold Wyczółkowski (1921 – 2012) – znany artysta plastyk i ilustrator – wprowadzając syna w arkana sztuki i ucząc go plastycznego abecadła. Artysta w autokomentarzu do swojej wystawy pisze:



> Moja sztuka to równowaga dwóch światów. Pierwszy z nich to świat intelektu, geometrii i porządku spojony solidnym rzemiosłem. Ten drugi świat jest miękki, organiczny, pełen uczuć i instynktów. Połączenie tych dwóch światów stanowi fundament mojej sztuki, której efekt końcowy jest punktem wyjścia uruchamiającym wyobraźnię odbiorcy.
>
> W moich pracach przenikają się wzajemnie elementy natury, to co organiczne i kosmiczne ze spojrzeniem na życie w

wielkim powiększeniu. Moje grafiki oparte są na bazie logiki i równowagi.

Chcę, aby moje prace służyły kontemplacji, która jest niezbędna w procesie odkrywania przez jednostkę własnego ja i jej związku ze światem. Chcę podtrzymywać dialog z odbiorcą. Nigdy nie daję odpowiedzi; niech reakcja zależy od oglądającego.

http://www.triennial.cracow.pl





Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Wernisaż Leszka Wyczółkowskiego w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Wernisaż Leszka Wyczółkowskiego w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Wernisaż Leszka Wyczółkowskiego w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Wernisaż Leszka Wyczółkowskiego w Krakowie, fot. Tomasz Korczyński.



Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie.



Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie.



Leszek Wyczółkowski podczas wernisażu w Krakowie.

Pamiątka po księdzu Janie



Ksiądz Jan Twardowski (1915-2006), Warszawa. 19.11.2001 r., fot. PAP/Andrzej Rybczynski.

Florian Śmieja

Ks. Jan Twardowski należy do tych poetów, których każde wydawnictwo opublikuje z przyjemnością i korzyścią. Jest lubiany, a książki jego znajdują chętnych klientów. Obok noblistów i ocierających się o nich Herberta i Różewicza, postać drobnego księdza musi zastanawiać. Nie posiada on wieszczego głosu, ani nie propaguje modnej filozofii, nie epatuje też chwytliwą formą. Łapie na wypróbowany, staroświecki lep: najzwyklejsze słowa człowieka i podbija najszersze kręgi czytelników.

W Warszawie chodziłem do sióstr wizytek na jego wczesne msze, raczej na kazania dla dzieci, takie śmieszne, proste i krótkie. A może to już było pod koniec jego posługi? Nie wiem. W wierszu napisałem, że trzyminutowe. Może przesadziłem. Ale były niepowtarzalne.

Dlatego z radością niosłem księdzu Janowi książkę przyjaciela, profesora Jerzego Pietrkiewicza z Londynu, prezent, którego nie zdołał sam przekazać. Po nabożeństwie poszedłem do ogródka za kościołem, odczekałem swoją kolejkę, bo byli inni petenci i wszedłem po schodach do pokoju na pierwszym piętrze domku.

Odebrawszy prezent ksiądz Jan sięgnął po małą, zieloną książeczkę. Wpisał na stronie tytułowej "I.I. Florianowi Śmieji najserdeczniej" i podpisał się dając datę. Była to skromna publikacja "Niecodziennik", zbiór anegdot i uciesznych dykteryjek, z których zacytuję ostatnią:

> Jestem bardzo wdzięczny tym, którzy pisali recenzje i artykuły o moich wierszach. Stale się od nich uczę. Zdarzało się jednak, że omawiając moje wiersze pisano o dialektyce, antynomiach, Pascalu, Heraklicie, Heglu, koegzystujących realiach. Przeraziłem się.
>
> Otworzyłem tom moich wierszy i natrafiłem na takie teksty:

> “polna myszka siedzi sobie, konfesjonał ząbkiem skrobie”, “kto bibułę buchnie, temu łapa spuchnie”, “siostra Konsolata, bo kąsa i lata”, “rysowałem diabła bez rogów, bo samiczka” – i uspokoiłem się.

Obiecaliśmy sobie modlić się za siebie, a niepokaźny “Niecodziennik” stanął dumnie obok pięknych tomów wierszy poczytnego poety, który posiadł rzadki dar prostoty.

Florian Śmieja

> POCIECHA
>
> To bardzo pocieszające
>
> że mimo promocji bełkotu
>
> układów i mistyfikacji

wbrew kumoterskiej krytyce

górują nadal czyste głosy

Herberta, Miłosza i Twardowskiego

że ze złomowiska instalacji

spod ezoterii i kuglarstwa

snobizmu i patologii

wydobywamy wciąż jeszcze

pożywny chleb poezji.

KSIĄDZ JAN

Dla M.P.

Już pochylony co niedzielę

wygłasza u sióstr wizytek

poetyckie homilie

dla niewiniątek w każdym wieku.

Bezkonkurencyjnie

wpisał się do księgi Guinnessa

za najkrótsze kazania

a jeszcze pewniej

w serca swoich słuchaczy

bezradnie wyciągających szyje

by niczego nie uronić

z jego mądrych szeptów

lecz rozumiejących bezwiednie

że dobroć słów nie potrzebuje.

Miłość po szkocku. Marsz kombatantów.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica". Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. Mary jest postacią autentyczną.



fot. ShutterStock

Anna Habryn

Rozdział 7

– Mandy, wróciłam. Przyjdziecie z Peterem na obiad w sobotę? Opowiem wam o Polsce. Tak, byłam w Polsce! Oczywiście, że sama. I nic mi się nie stało. Było cudownie…. Widziałaś może Jana? Jak to, mój brat ci nie pozwolił? Nikt nie może się z Janem

widywać?! Ależ, coś z tym trzeba zrobić!

Usłyszała w odpowiedzi:

– Mamo, daj spokój. To beznadziejne.

Mary ściskała w ręce aparat fotograficzny i trzęsła się z emocji. Wysiadła z samochodu i ruszyła niezbyt szybko w stronę domu. Nie wyróżniał się niczym specjalnym. Żywego ducha dookoła. Weszła na ganek. Zadzwoniła. Cisza. Zapukała. Nikogo. Zajrzała przez szybę do środka. Pustka, ciemność. A przecież tam był, Jan musiał tam być. Christine mówiła jej, że Jan nie rusza się z pokoju. Chodzi tylko po domu, a i to z trudem.

– Janie! – krzyknęła. Nikt nie odpowiedział. – Janie, byłam w Poznaniu, u Seweryny! Mam dla ciebie prezenty!

Cisza. Mary poczuła, że płacze. Z bezsilności, z żalu. Nie mogła z nim porozmawiać, a jej listy wracały do niej nie otwarte. To już pół roku, jak Charles zabrał Jana do siebie. Odebrał go jej. Był jego prawnym opiekunem – nic nie mogła zrobić.

Christine, albo któraś z jej koleżanek z *Silver Chain* odwiedzała Jana co drugi dzień. Mówiła, że Charlesa nigdy nie ma w domu, a Jana nikt poza nimi nie widuje.

– Janie! – zawołała jeszcze raz. Nic. Wiedziała, że tam jest. Siedzi sam, w półmroku. A może patrzy na nią z głębi pokoju. Boi się!?

Zawróciła, płacząc z rozczarowania. (…)

Medale przysłano z Londynu na adres Mary. Zabrała je do sklepu z militariami i zamówiła specjalną, elegancką kasetkę, oszkloną, do przechowywania i eksponowania odznaczeń. Była śliczna i droga, ale cóż z jej trudów, skoro nie mogła przekazać medali Janowi. Nie miała wstępu do domu jego opiekuna. Kogo prosić o pomoc?

Zwróciła się do Georga. Powiedział jej:

– Nie wiem, czy to coś pomoże, ale jest tu Związek Kombatantów. Zadzwoń do ich prezesa, tu masz jego telefon.

Kiedyś George opowiadał jej o swoich skomplikowanych losach. Był więziony w rosyjskim łagrze, jego żona i dzieci pomarły z głodu. Na Syberii nie było co jeść. Wytłumaczył jej, że podczas ciężkiego oblężenia Leningradu przez Niemców, Rosja zgodziła się utworzyć polskie wojsko z uwięzionych przez nią polskich żołnierzy, pod warunkiem, że będą się oni bić z Niemcami. George wyszedł ze Związku Radzieckiego razem z armią generała Andersa i potem walczył w Anglii jako pilot myśliwca. Brał udział w bitwach powietrznych. Przeżył wojnę i przyjechał z

transportem byłych żołnierzy z Anglii do Perth. Ożenił się tutaj, jego żona była piękną kobietą. Żyli dostatnio, George uczył na uniwersytecie, bo to był przecież jego przedwojenny zawód… Mary oglądała kiedyś jego medale za zasługi wojenne.

– Nie należysz do kombatantów? – zapytała teraz zdziwiona.

– Należę. Formalnie należę – powiedział i uśmiechnął się. – Ale to dla mnie nie najważniejsze w życiu. I lepiej, żebyś się z prezesem skontaktowała sama.

– Nie najważniejsze? – Zastanowiła się sekundę i zdecydowała drążyć temat do końca. Może dowie się wreszcie prawdy o tym, co czuje prawdziwy bohater, bo przecież kto jak kto, ale George był bohaterem.

– Co jest w życiu najważniejsze?

Podniósł brwi w górę.

– No, czym naprawdę się szczycisz, z czego jesteś najbardziej dumny, George?

Myślał chwilę, a potem powiedział:

– Nigdy w życiu nie jadłem darowanego chleba.

I nie wyjaśnił jej nic więcej.

Wieczorem zadzwoniła do Prezesa Koła Kombatantów. Zaprosił ją do udziału w zbliżającej się paradzie z okazji *Anzac Day*, w imieniu Jana.

– Ale to są brytyjskie medale, nie polskie…

– Nie szkodzi. W ten sposób pomoże pani zaakcentować udział Polaków w II Wojnie Światowej i ich zasługi dla ostatecznego zwycięstwa Aliantów – powiedział.

Zastanowiła się chwilę, a potem stwierdziła radośnie:

– Ma pan rację. Mój ojczym jest chyba jedynym żyjącym jeszcze w Australii polskim marynarzem. A kto wie, czy nie jedynym z tych, co podczas wojny pływali na *Błyskawicy*.

– No, widzi pani. Warto pokazać jego medale.



Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki)

Anzac Day przypada 25 kwietnia. Mary miała nadzieję, że starczy jej sił na kilkukilometrowy marsz. Ale przecież, skoro będą tam szli z nią ludzie 75-80-letni, to i ona wytrzyma. Podobała jej się myśl, że będzie reprezentować Jana w marszu ku czci Wolności.

Stawili się na miejsce wcześnie. Pogoda była, jak zawsze wczesną jesienią, piękna. Mary ubrała się w granatowy kostium, jedyny w jej garderobie, który nieco przypominać mógł mundur. Tony pomógł jej przypiąć medale na właściwym miejscu. Przydałby się beret, ale tak, pójdzie z gołą głową.

Mary czuła się niepewnie, kiedy szukała w tłumie polskiej grupy.

Stali pod biało-czerwonym sztandarem, chyba ze dwadzieścia osób. “To i tak cud, że jest ich ciągle tylu”, pomyślała. Sami mężczyźni. Znalazła prezesa, z którym rozmawiała przez telefon. Był to niewysoki, ale przystojny siwy pan z orlim nosem. Przedstawił ją wszystkim. Czuła się jak królowa, kiedy każdy z nich po kolei całował ją w rękę pochylając się nisko. Starzy, dumni mężczyźni. A potem, kiedy stała tak razem z nimi, poczuła się, jakby popełniła nadużycie. Bo co ona sama zrobiła dla pokoju na świecie? Nic. Tyle, że korzysta z niego, jest częścią tego świata, który oni stworzyli, ci dzielni ludzie dookoła. Rozmawiali z nią przyjaźnie, opowiadali o sobie, pytali o jej ojca czyli o Jana. Któryś powiedział:

– Gdybym nie słyszał, jak pani mówi, pomyślałbym, że jest pani Polką.

Uznała to za największy komplement. Wygląda jak jedna z nich, jakby była na swoim miejscu.

Tłum ruszył, najpierw powoli, a potem już marszowym krokiem. Mary nigdy przedtem nie maszerowała po wojskowemu. To nie było wcale takie proste. Mężczyzna idący przed nią wydawał się tańczyć, tańczyły jego dłonie i Mary tak się zapatrzyła, że zgubiła krok. Ktoś z tyłu podał rytm: “Lewa, lewa…” Spłoszona, wyrównała szybko.

Popatrzyła w twarze tych idących obok: uśmiechali się jak ludzie szczęśliwi.

– Była pani w Warszawie? – zapytał jeden z lewej strony. Potwierdziła.

– A ja, widzi pani, nie byłem. Po wojnie nie byłem w Polsce. Jak tam jest?

Zaczęła mu pokrótce opowiadać i zanim marsz się skończył, czuła, że jest jedną z nich, zaakceptowana, swoja, cenna.

Stojąca gdzieś z boku orkiestra kobziarzy przypomniała jej, że jest Szkotką. Dumna, wyprostowała się jeszcze bardziej. Zobaczyła Tony`ego na chodniku, z jego kamerą, ale nie pomachała mu. Starała się utrzymać równy krok. Uśmiechnęła się tylko.

– W prawo patrz! – zakomenderował dowódca tego małego oddziału, którego była częścią. Zwróciła głowę w prawo i posłała uśmiech Gubernatorowi i Premierowi.

A w kilka minut później było już po wszystkim. Uścisnęła znów wszystkie dłonie powtarzając po polsku: “Dziękuję, dziękuję”. Mówili jej, że im było miło, a ona im, że to dla niej zaszczyt.

Po paradzie zapakowała medale razem z kasetką w paczkę i wysłała przez pocztę, przesyłką poleconą, do odebrania przez pana Jana Rogackiego, do rąk własnych.

Charlie usiłował przekonać listonosza:

– Tu nie mieszka żaden pan Rogacki. Ten pan nazywa się Wilson!

Ale Jan w końcu podpisał dowód odbioru przesyłki swoim prawdziwym nazwiskiem.

Zobaczyła Jana dopiero w dwa dni po tym, jak przywieziono go ze szpitala, gdzie był operowany, do domu starców o nazwie "Złota jesień". Tu odtąd miał mieszkać.

Oczywiście, zawiadomiła ją Christine, nie Charlie.

– Złamał biodro – powiedziała.

– Jak?

– Pewnie upadł. Mnie przy tym nie było.



Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki) w domu opieki, na uroczystości wręczenia medali. Mary stoi za Janem.

Jan siedział przywiązany do krzesła, odurzony środkami przeciwbólowymi. Siwy starzec, wychudły, z długimi włosami, z paznokciami zawijającymi się jak szpony, nie przypominał tego człowieka, którego widziała kilka miesięcy wcześniej chodzącego po ogrodzie, który czytał książki i przełączał kanały telewizyjne w poszukiwaniu jakiegoś filmu.

Powiedziała do Tony`ego:

– Widzisz? Sprzedał jego dom i miał się nim opiekować. On nie potrafi się opiekować nikim, nawet sobą!

Obudziła się jak zwykle nad ranem, jeszcze nim ptaki zaczęły śpiewać – i leżała cicho w ciemności.

Wczoraj spędziłam z Janem cały dzień. Dlaczego on musi tak cierpieć? On godzi się pokornie ze wszystkim. Ale przecież nie powinien się znajdować w tym strasznym miejscu.

Charlie wybrał ten dom starców tylko dlatego, że jest ode mnie bardzo daleko. Myślał, że nie będzie mi się chciało jeździć do Jana. Ale bardzo się pomylił. Nie zna mnie. Biedny Jan cierpi dlatego, że mój brat mnie źle ocenił. Wiem, jest i inna przyczyna: im mniej wyda na Jana, tym więcej zostanie dla niego. Przynajmniej on tak myśli.

Numer pokoju Jana, 13, wywołał u Mary gorzki uśmiech. Zawsze wierzyła w szczęśliwą trzynastkę, aż do dziś.

Była pora lunchu. Jan siedział grzecznie przy stoliku i… spał.

“Biedaku – pomyślała Mary – siedzisz tu jak stary ptak w klatce i czekasz, żeby cię nakarmiono. Tu można tylko umrzeć, a nie wrócić do życia.”

Objęła go ramionami. Spojrzał na nią przytomnie:

– Ładnie wyglądasz – powiedział.

Mary wyjęła z kasetki spoczywającej w szufladzie i przypięła mu do koszuli wszystkie medale. Uśmiechnął się, kiedy mu zasalutowała.

Przez korytarzyki wypełnione stęchłym odorem starych ludzi powieźli go, w jego fotelu na kółkach, do sali ogólnej, dużej bawialni z masą różnych krzesełek ustawionych rzędem pod ścianami i z telewizorem w rogu. Było tu więcej światła i trochę roślin w donicach.

Pojawiła się pielęgniarka Grace, drobna blondynka, która była Polką, popychając na wózku jakąś staruszkę. Powiedziała:

– Cześć, Mary, twój ojciec mówił dziś o tobie.

"Cud, pomyślała Mary, po raz pierwszy uznano mnie tu za córkę Jana! Formalnie i oficjalnie, no, no."

– Jak rozmawialiście? Po polsku? – zapytała. Grace w końcu była zatrudniona tu, żeby rozmawiać w rodzinnym języku z pacjentami takimi, jak Jan. W tym domu mieszkało kilku Polaków.

Grace pokręciła głową przecząco:

– Nie, on nie chce mówić po polsku. Nawet mnie to dziwi.

Rozumie mnie, a zachowuje się tak, jakby chciał mnie powstrzymać, żebym do niego nie mówiła po polsku.

Mary poczuła ucisk w sercu.

– Mów do niego. On się boi. Myśli, że to coś złego. Jego opiekun nie zachęca go do mówienia po polsku. Nie chce uznać, że jego ojciec jest Polakiem. A on nie nazywa się James Wilson, tylko Jan Rogacki.

Grace zakręciła się przed Janem na palcach, zanuciła wysokim głosem coś wesołego, Mary nie zrozumiała słów, ale Jan się wyraźnie roześmiał! A potem mrugnęła do nich jeszcze raz i zniknęła, machnąwszy na pożegnanie ręką.

Mary bywała u Jana raz na tydzień, we wtorek. Przyjeżdżała po śniadaniu. Siadała z nim na werandzie, albo zabierała go na spacer, pchając jego wózek dookoła domu.

Żałowała, że nie może mu szczerze powiedzieć tego, co myśli. A myślała mniej więcej tak:

“Biedny Janie, siedzisz tu jak orzeł oskubany z piór. Jesteś tam, gdzie wsadził cię Charlie. Gdzieś na drodze życia zagubiłeś swoją dumę. Ale wierzę, że jak zobaczysz, że Polska o tobie pamięta, jak dostaniesz polskie medale… Janie, będziesz jeszcze dumny!”

Notatki spod Monte Cassino

Józef Poniatowski

Fragmenty pamiętnika z lat wojennych, opracował Florian Śmieja.



Józef Poniatowski na Bliskim Wschodzie, fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana Śmiejów.

[…] Staraliśmy się o ten wyjazd od kilku tygodni. Mieliśmy wyjechać 8.V., ale potem przyszło zarządzenie, podobno generała Andersa, żebyśmy przyjechali 13-tego, bo akcja zacznie się 15-tego.

Wyjechaliśmy tedy w sobotę i koło 10 rano znaleźliśmy się w II rzucie Korpusu, o 2 km od od Venefro, w Sekcji Polowej Propagandy i Kultury. Zameldowaliśmy się u ppłk. Michniewicza. Przyjął nas uprzejmie, wyjaśnił bardzo ogólnikowo sytuację i nieco zmroził wiadomością, że gen. Anders nie tylko nie chce teraz zajmować się prasą czy korespondentami, ale jest przeciwny jeżdżeniu do oddziałów. Okazało się ponadto, że jest to skutek niepowodzenia w pierwszym natarciu.

Mamy pojechać do punktu opatrunkowego. Wita mnie kierownik punktu, porucznik-lekarz K. Opowiada, jak piekielną mieli robotę przez parę poprzednich dni. Przez ich ręce przeszli prawie wszyscy ranni Korpusu – ponad tysiąc. Było po kilkadziesiąt operacji dziennie. Prawie każdy potrzebuje co najmniej transfuzji krwi. Na trzy dni przed natarciem, Niemcy ostrzelali ich punkt zabijając dwóch lekarzy i kapelana. Stali wtedy o 3 km dalej, już blisko dolnego końca Inferno, ale po tym wypadku musieli się przenieść. Dr K. przyznaje, że nie jest pewne, czy Niemcy chcieli trafić w szpital. Wisiała wprawdzie wielka płachta z czerwonym krzyżem, ale była dość wyblakła, a wąwóz ostrzeliwują stale, bo wiedzą, że to ważna droga komunikacji. Przy tym, o parę godzin wcześniej udało im się „zmacać” i zapalić znajdujący się opodal skład amunicji.

W czasie naszej rozmowy, przysłuchujący się początkowo kapitan o okrągłej twarzy, odchodzi na bok, zakłada stułę i udziela

ostatnich Sakramentów leżącemu obok rannemu. Potem zdejmuje stułę i wraca do nas. Mamy wracać, ale czekamy pół godziny, ruch pod górą wciąż zamknięty.

Nam radzi pułkownik udać się przed północą z mułami niosącymi prowiant do 16. baonu, nie ma nic przeciw temu, żebyśmy dotarli do którejś z leżących na linii kompanii, Mułów jest kilkadziesiąt, wszystkie objuczone, poganiacze Cypryjczycy, podobno doskonale pracują, nasz oficer i dwóch żołnierzy. Noc ciemna, księżyc wzejdzie za parę godzin. Rozświetlają ciemności tylko błyski wystrzałów i wybuchów, czasem przetnie niebo łuk świetlnego pocisku. Ogień zresztą nie jest zbyt gęsty i nadal trudno zrozumieć, kto i do kogo strzela. Zdaje się, że to tzw. ogień nękający – dwie strony kładą wiązki pocisków tu i tam, zwłaszcza gdzie znając teren przewidują bądź nieprzyjacielską baterię, bądź skupienia ludzi czy transporty.

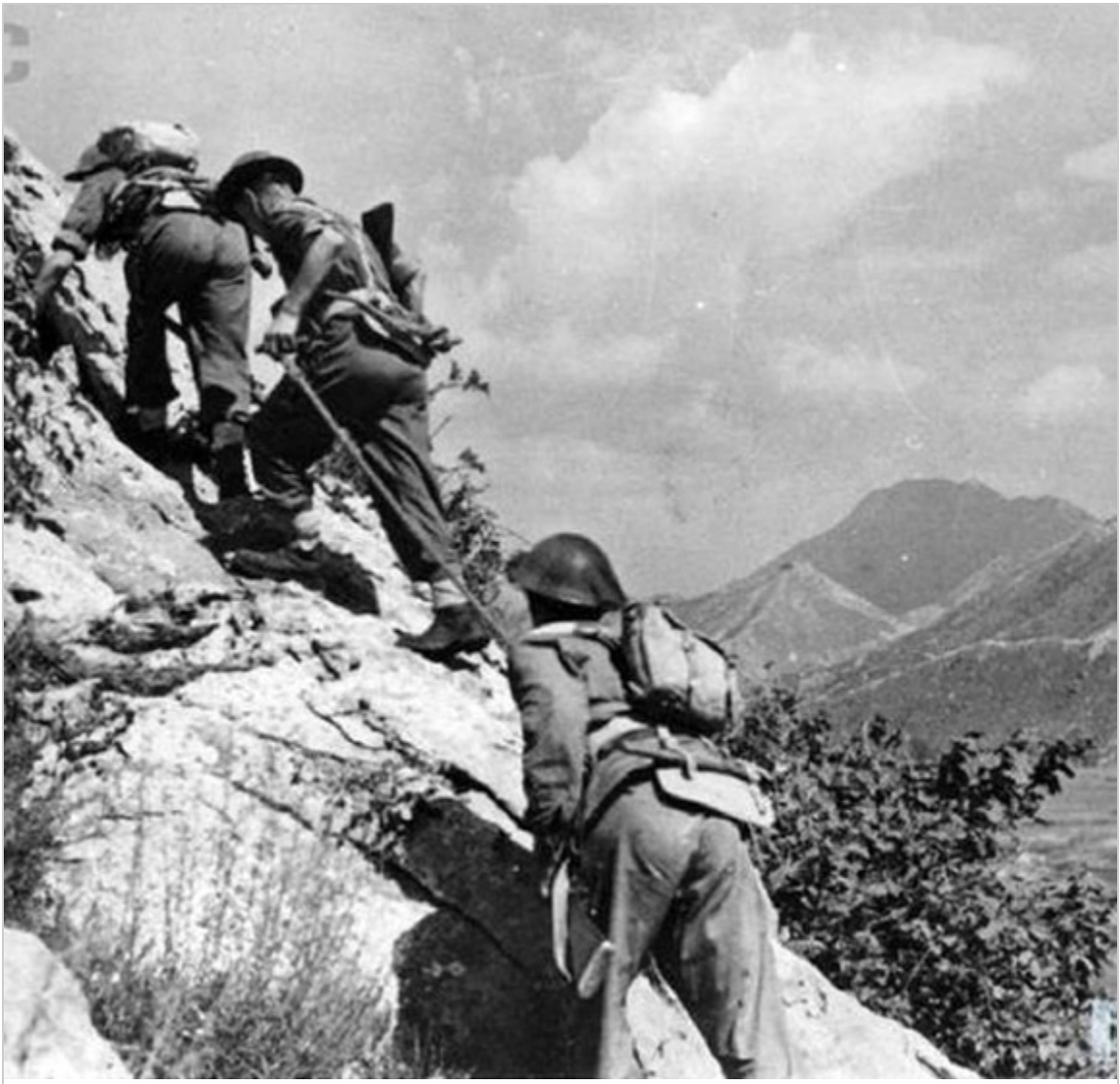
Idziemy jeszcze kilkaset kroków drogą w lewo, ku dolinie Maioli. Potem skręcamy od niej ścieżką wspinającą się zboczem na wzgórze Castiglione. Tempo marszu dość szybkie biorąc pod uwagę ciemność, pod górę i ciągłą potrzebę wyplątywania nóg lub głów z drutów telefonicznych. Czasu tracić nie należy bo jednak co noc na tych ścieżkach muły i ludzie giną, o czym świadczy dość często straszliwy zapach padliny. Palić tu już nie wolno, hałasować – jak najmniej. O kilka metrów przed tą zachodnią krawędzią, zresztą dość łagodnie zbiegającą ostatnie

dwa schrony, już najbliższe nieprzyjaciela wyjątkowo zakryte i z góry, z jednego z nich wyłazi kpt. Biegunowski, zastępca dowódcy batalionu, przebywający od paru dni z 2. kompanią

Kompania leży tu trzy dni. Zapytuję kapitana o warunki. Nie mają ze sobą ani koców, ani płaszczy. Spać w tych warunkach może tylko ten, kto już potwornie zmęczony. Prowiant przywożą w nocy mułami do batalionu, stamtąd – na ramionach. O ciepłej strawie nie ma mowy, o wodzie do mycia – również Pytam, czy te przypadkowe strzelaniny, tam i ówdzie padające pociski nie dały się we znaki, czy też kogo z kompanii uszkodziło. „Proszę zobaczyć” , odpowiada po prostu kapitan. Prowadzi mnie o 20 m w lewo od swego schronu: półotwarte stanowisko, na środku mała grządka zruszonej ziemi i kamieni, zatknięty nawet jakiś krzyżyk, o ile dobrze dojrzałem… „Tu spoczywa podchorąży i strzelec, siedzieli w tym schronie, pocisk trafił sam schron, nie było co ratować”. Idziemy o kilkadziesiąt metrów w tył. Kapitan szuka węchem i dotykiem i łatwo znajduje. „Tu także pochowaliśmy dwóch, ale to o dzień wcześniej od tamtych”. Trzeci grób widziałem na wstępie do kompanii. A więc w ciągu trzech dni bez większych działań, w oczekiwaniu, na odcinku podobnym do innych, kompania miała 5 czy 6 zabitych nie licząc rannych. Najbardziej uskarżają się na moździerze.Ale w dzień dają się także we znaki niemieccy strzelcy wyborowi.

Oprowadza nas po terenie swej kompanii i zarazem opowiada. Po

żołniersku, po prostu.Bierze mnie coraz większy dla tych ludzi podziw. Pytam, czy zmęczenie i stałe napięcie nerwów nie odbiera im zdolności do walki, czy nie łudzą się, że po paru jeszcze takich dniach ktoś ich zluzuje i pójdą na wypoczynek, czy rozumieją, że to dopiero wstęp, że przyjdzie największy wysiłek, w którym na nich właśnie przypadnie rola natarcia. To wszystko dobrze wiedzą. Wiedzą, że zadanie przez ich poprzedników przed paru dniami wykonane nie zostało, więc musi być wykonane przez nich. Spodziewają się każdej nocy rozkazu nacierania na Widmo i dalej na San Angelo. Nastrój twardego realizmu, coś wręcz przeciwnego do „słomianego ognia”, o który tak często i chyba niesłusznie jesteśmy pomawiani.



Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-640-6, za pinterest.

Pomimo ciemności, horyzont rysuje się dość ostro, widać powyginaną linię wzgórz. Kapitan wyjaśnia: Maiola i ten grzbiet za nią, z naszej lewej strony – to region Karpackiej. Lewa krawędź tego grzbietu, za siodłem – to Monte Cassino, a to najwyższe wzniesienie na prawym końcu – to 593. Między nim i dalej w prawo, już przed nami położonymi San Angelo, 593 i in.,

w przedłużeniu Maioli to Gardziel Śmierci. W tym samym kierunku leży Masseria Albaneta – ruina pośrodku dolinki łączącej rejony działania obu dywizji. Jeszcze sporo w prawo wznosi się Monte Cairo, ale szczytu z powodu ciemności nie widzimy. Zupełnie już po prawej ręce leży Castel Belmonte, a już prawie z tyłu – Cifalos, skąd właśnie teraz strzela niemiecka artyleria. Ogień stamtąd najbardziej zdeprymował nasze bataliony 18 i część 13 na Widmie tragicznej nocy 11/12 maja, bo chłopcy myśleli, że są pod własnym ogniem.

Rzeczywiście, ogień artylerii, co prawda niezbyt gęsty, słyszymy ze wszystkich czterech stron. Z jednej własny, z trzech – nieprzyjacielski. Przypomina mi się bitwa pod Świszczowem w końcu lipca 1920 r., gdy także ogień był naokoło, ale tam rzeczywiście trzeba się było przemykać i wyślizgiwać będąc wewnątrz przeważających sił nieprzyjacielskich.

Jest już prawie pewne, że tej nocy zacznie się natarcie Rzeczywiście o 6. zaczyna się koncert, Muszę jednak przyznać, że przynosi mi trochę rozczarowania. Spodziewałem się więcej. Uprzedzano mnie wprawdzie, że na skutek interferencji fal głosowych huk jest mniejszy niż wynikałoby z dodawania wszystkich jego źródeł, ale przypuszczałem, że przynajmniej jest zupełna ciągłość huku, że nie będzie w nim przerw. Jakkolwiek nerwy były napięte przez samą świadomość, że oto o kilka kilometrów już się toczy walka na śmierć i życie, straszliwa

próba naszego Korpusu, od której zależeć może jego sława i uzyskanie nowego atutu dla sprawy polskiej, ale też i utracenie na długo zdolności bojowej – zapowiadało się na razie, że ten dzień będzie osobiście dla mnie prawie zmarnowany. Widoku z tej grupy schronów rozrzuconej w w obszernym gaju oliwnym – żadnego, zresztą wiadomo, że i dalej go nie ma, bo wszystko zadymione. Już znacznie wcześniej przyszła wiadomość, że jeszcze w czasie nawały artyleryjskiej, zaraz po 7 rano Kresowa zdobyła nie tylko resztę Widma, ale o wiele ważniejsze Colle San Angelo, jedną z pozycji kluczowych.



Melchior Wańkowicz, korespondent wojenny 2 Korpusu

Polskiego Melchior Wańkowicz (1. z lewej) w towarzystwie nierozpoznanych osób, na szczycie „Widma”. W tle Monte Cairo, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

W miarę jednak upływającego czasu nastroje wyraźnie rzedły, chociaż nic konkretnego nie mówiono. Dowiedziałem się, że najciekawiej jest siedzieć w schronie podsłuchu radiowego i tam też przeważną część dnia spędziłem. Zastałem tam już Wańkowicza, który mając niezawodny instynkt dziennikarski utknął w tym podsłuchu od rana, siedział kamieniem pilnie notując. To słuchanie jest rzeczywiście fascynujące, ale mimo bardzo jeszcze dobrego tonu czołgistów wyczuwało się wyraźnie, że optymizm poranny był trochę przedwczesny. Koło południa Niemcy odebrali San Angelo, po paru godzinach nasi znowu tam częściowo wleźli, ale oczyszczenie wzgórza się nie udawało, straty od moździerzy były coraz większe, Karpacka też nie mogła ruszyć dalej. Batalion 6 majora Różyckiego dotarł na 200 m od Albanety i dalej nie mógł się ruszyć. Płynęły długie godziny bez oczekiwanego sukcesu. Przychodzi zapowiedź: o godz: 13.40 piechota rusza do natarcia na Albanetę, tymczasem okazuje się, że w ogniu nie może się ruszyć. Staje się konieczne przybliżenie jeszcze tych paru czołgów nie mogą się ruszyć, bo przed nimi kilkudziesięciometrowy pas gęsto zaminowany. Saperzy z początku oczyszczali przejście, ale zrobił się taki ogień, że leżą pod czołgami i nie chcą wyłazić. Przez dobre pół godziny trwa

wymyślanie na tych saperów, bo od oczyszczenia drogi dla czołgów zależy bardzo dużo, przecież Albaneta to pępek niemieckich pozycji. Słyszę rozkaz Drelicharza: „Ruszcie czołgiem, żeby wystraszyć tych sukinsynów, że ich przejedziecie". Po chwili meldunek: „Ruszyliśmy, ale ci spryciarze powłazili pod stojący obok czołg z urwaną gąsienicą. Ich dowódca ppor. C. powołuje się na rozkaz pułk. S., że saperów należy oszczędzać. Nic, tylko wziąć kija i wyganiać te cholery". "Strzel mu w łeb lepiej, to inni wyjdą". O ile mi wiadomo, to zwrócono się wreszcie zupełnie poważnie do gen. Ducha o zezwolenie na zastrzelenie oficera dowodzącego saperami. Zezwolenie zostało podobno udzielone, ale zanim z niego skorzystano wyjaśniło się, że czołgiści trochę przesadzali, bo siedząc w czołgach nie doceniali bardzo silnego ognia moździerzy i spandauów uniemożliwiających pracę saperow. Ci ostatni próbowali pracować, ale co który głowę podniósł – strzelcy wyborowi nieprzyjaciela widocznie także rozumiejący sytuację, brali go na cel. Paru dostało, trudno się dziwić, że reszta wolała się chować.

Ku wieczorowi zaczęły napływać wiadomości o śmierci wyższych oficerów, Jurny nastrój czołgistów też zaczął nieco opadać. Czuć było zmęczenie, nawet w głosie Drelicharza (nazajutrz został ranny). Brakło im amunicji, mieli już kilku rannych, praca w nieustannym ogniu wyczerpuje. Wezwano z tyłu inny szwadron na zmianę, ale Drelicharz wybłagał, by go nie wycofywano – chce

doprowadzić swe zadanie do końca.

Na wieczór zaczęło się wszystko uspakajać bez rozstrzygającego wyniku dla którejkolwiek strony. Widmo było nasze, ale San Angelo i 575 m na odcinku Kresowej, a 595, 567 i Albaneta na odcinku Karpackiej pozostawały częściowo lub w całości w rękach Niemcow. A nasze straty już były ciężkie i zmęczenie żołnierza – potworne.



Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe

Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-645-2, za Pinterest.

Nazajutrz obiecywałem sobie od wczesnego rana siedzieć na podsłuchu. Tam przybyliśmy o 10.20 – prawie o tej samej właśnie minucie gen.Anders otrzymał meldunek, że przed paru minutami patrol 12 pułku ułanów wszedł do klasztoru Monte Cassino. Okazało się także, że w nocy i nad ranem wzięto Albanetę, 595 i 567. W chwilę potem widzieliśmy gen. Andersa udającego się na nabożeństwo, które z tego tytułu zarządził.

Koło namiotu ppłk. Michniewicza spotykam go wraz z ppłk. Bąkiewiczem i dowiaduję się od nich, że za chwilę jedzie do zdobytego klasztoru grupa amerykańskich dziennikarzy w towarzystwie polskich oficerów. Błagam, by mnie przyłączyli. Ppłk. M. powiada, że nic nie ma przeciw temu, ale muszę się starać o samochód. .

Wyruszyliśmy po 1. Było z dziesięciu, a może i tuzin Amerykanów, z nimi ppłk. Bąkiewicz, paru oficerów informacyjnych, z prasy Bau, Mossin i ja, filmowcy: Jaszcz, Lipiński, Bazarewski, jeszcze jakiś jeden major z kilku żołnierzami i chorągwią do wy(*nieczytelne)* klasztorze, jeden kapelan i ktoś tam jeszcze.

Dojechaliśmy do tzw. car-parku – po prostu łączka u podnóża

góry. Dalej idzie już tylko wąska i trudna ścieżka pod górę do drugiego, górnego car-parku. Ruch na niej, oczywiście, jednostronny, a właśnie w dół prowadzą wziętych w klasztorze jeńców: trzy partie po dziesięciu. Młodzi chłopcy, bardzo widocznie zmęczeni, zarośnięci, sami spadochroniarze. Podobno w nocy ponad stu wyszło z klasztoru, który już był odcięty i poszło poddać się Anglikom, by nie dostać się w polskie ręce.

Poszli, ale naszych łazików nie puszczają. Decydujemy się iść pieszo. Droga ciężka, coraz to trzeba wymijać to łaziki, to grupy robotników włoskich, to patrole sanitarne, to niosących nosze z rannymi, albo trupy owinięte w koce. Trupy leżą także od czasu do czasu, o ile są owinięte, to wyglądają jak jakieś na pocztę przygotowane przesyłki, tylko buty z jednej strony sterczą. Gorzej gdy (*nieczytelne)* owinięte, albo nawet przykryte, bo wówczas rozkładają się i strasznie pachną.

Ścieżka – już wyłącznie dla pieszych i może od biedy mułów, nieco powraca, potem skręca przez siodło w lewo i znowu się podnosi. Jesteśmy tu już na terenie, który nieprzyjaciel może obserwować i ostrzeliwać. Pada zarządzenie, żeby iść w odstępach dwudziestu kroków jeden od drugiego. Mijamy nieco krzaków, widzimy już klasztor, a raczej jego ruinę, wyjątkowo nie zadymioną, tak blisko, jak jeszcze się tej groźnej kupy gruzów nie widziało. Ścieżka zwraca jednak jeszcze w prawo, biegnie równolegle z krawędzi, za którą leżą miski Maioli, aż osiągamy

wielki murowany budyneczek słynny z czasu walk Karpackiej „Domek lekarza”, uwija się trochę ludzi, a przed domkiem leży przy ścieżce rzędem pół tuzina trupów z niezasłoniętymi twarzami.

Za laskiem droga dość stromo się podnosi – to już wejście (*nieczytelne)* Monte Cassino. Nad nami wznosi się imponująca ściana stosunkowo mało naruszona – to jedyna ocalała północna ściana klasztoru.

Pnę się na wzgórze i sapiąc spotykam gdzieś w połowie wzgórza na kilkadziesiąt metrów przed murem – Wańkowicza. Nie jestem jego adoratorem, złości mnie jego blaga i interesowność, kłóciliśmy się często o sprawy redakcyjne, aż się prawie obraził – a jednak przyznać muszę, że tym razem opanował mnie podziw, jak poprzedniego dnia na widok tych żołnierzy wnoszących na górę żywność i amunicję. Z jego tuszą i w jego wieku, to naprawdę wyczyn sportowy.

Ścieżka wzdłuż ściany wyprowadza nas na zasypany gruzami plac zachodniej strony klasztoru, gdzie grzbiet jest najłagodniejszy. Sterczy tam jeszcze kilka pni drzew i ruiny jakichś zabudowań. Klasztor od tej strony wygląda opłakanie – potworne rumowisko. Po lewej stronie wejście do jakiegoś tunelu, zapewne niegdyś po prostu korytarza. Stoi tam paru naszych saperów. O parę kroków przed kupą jakichś gruzów

pomieszanych z puszkami od konserw itp. – coś się żarzy. Zapytani saperzy wyjaśniają, że to jeszcze Niemcy zapalili.

Patrol z chorągwią musi się wydrapać na szczyt rumowiska, by zawiesić chorągiew na którymś z najwyższych punktów. Drapię się za nimi, co jednak nie jest łatwe, ani całkiem bezpieczne, bo trzeba się dostawać po stromych i wciąż usuwających się pod nogami gruzach, a ponadto nikt nie wie, czy teren nie jest zaminowany. Toteż z całej grupy liczącej ze trzydzieści osób wydrapało się na górę zaledwie siedem-osiem. Spośród Amerykanów widziałem na górze dwóch, Bau i Mossin zostali na dole, Wańkowicz, oczywiście, także… Samo zawieszenie chorągwi polskiej, a obok, ale trochę niżej – brytyjskiej odbyło się właściwie bez żadnej uroczystości, nikt nawet nie krzyknął „Baczność".

Widać z góry dobrze obszerny arkadowy dziedziniec wewnętrzny, poważny i harmonizujący, ale mocno zniszczony. Figura założyciela klasztoru i zakonu, św. Benedykta, stoi żałośnie na ziemi bez głowy i ręki. Na przeciwległej ścianie – mały proporczyk ułanów, którzy pierwsi tu weszli. Poza tym – gruzy, gruzy, gruzy.

Zastanawiałem się, jak się to stało, że pomimo wszystko taki zwykły murowany, choćby i solidnie, budynek mógł choćby w stanie zburzonym uchronić załogę zarówno w czasie tylu

ciężkich bombardowań lotniczych (*nieczytelne)* artyleryjskich. Jak nazajutrz zeznawał dca załogi, Niemcy prawie nie mieli tam strat od ognia.

Na dole zastałem zaledwie kilka osób. Część już pomaszerowała z powrotem, gdy byliśmy w klasztorze, jakiś pocisk padł przy ścieżce, którą niedawno przechodziliśmy, a ponadto odgłosy walki artyleryjskiej od północy jakoś się ożywiły i ostatecznie nikt dobrze nie wiedział, kto skąd i do kogo strzela.. Nie widziałem także Baua i Mossina, którzy, jak się potem okazało, chodzili jeszcze po różnych wewnętrznych zakamarkach. Sądząc, że już poszli, a będąc z nimi związany wspólnym łazikiem, musiałem się spieszyć. Poszedłem więc tylko jeszcze wzdłuż głównego korytarza, u wejścia do którego żar jeszcze nie wygasł, zajrzałem do jednego z bocznym zakamarków i wycofałem się. Słyszałem, że w jednym z bocznych korytarzy siedzą trzej ranni Niemcy jeszcze nie ewakuowani, ale nie mogłem się przemóc, by iść ich oglądać. Wziąłem spod muru klasztornego odłamek pocisku na pamiątkę i zabrałem się do powrotu.

Gdzieś na początku lasku spotkałem Baranowskiego, który mi powiedział, że czeka na resztę filmowców i że Bau i Mossin zapewne jeszcze nie wyszli. Nie chciałem już jednak wracać, by się nie rozminąć. Gdy szedłem ścieżką poprzeczną wzdłuż Onufrio – ogień się jeszcze ożywił, a trzy pociski padły o kilkadziesiąt metrów poniżej podstawy klasztoru. Zauważyłem

obok ścieżki bardzo rozłożonego trupa – jeszcze chyba Anglika lub Amerykanina sprzed nadejścia na odcinek naszych oddziałów. Kamienie ścieżki w wielu miejscach silnie pokrwawione. Gdy dochodziłem do „Bramki", słychać było bliskie serie kmów. Tłumaczyłem sobie, że to nasi likwidują ostatnie pozostałe wzgórze 575, ale nie bardzo mi się to podobało. Odcinek pomiędzy Domkiem Lekarza a „Bramką" już nie tylko Amerykanie, ale i nasi żołnierze przebywali biegiem. Koło Domu Lekarza też jakiś ruch bardziej gorączkowy niż przedtem. I ta seria karabinów maszynowych jakby gdzieś o paręset metrów, w dolinie Maioli. Później się okazało, że kontrataku na Albanetę nie było, ale San Angelo, wbrew poprzednim wiadomościom, nie było jeszcze w całości zdobyte jak i 575, a więc bitwa toczyła się od naszej ścieżki chyba nieco ponad kilometr.

Zszedłem do dolnego car-parku koło piątej, a w kilka minut potem zjawili się także filmowcy oraz Bau i Mossin. W II rzucie zastałem Rubla, zadowolonego z trzydniowego pobytu w 1 pułku artylerii lekkiej. Przyniosłem przywiezioną z Neapolu butelkę whisky oraz zachowany z Campobasso kawałek wędzonki i z Wackiem, Bornholzem i Rublem popiliśmy nieco pod to całe piękne zwycięstwo.

Następnego dnia pojechaliśmy z Rublem do sztabu Karpackiej szukać okazji do jakiejś wycieczki. Szczęśliwie się udało, dostaliśmy łazika i pojechaliśmy obejrzeć pole bitwy na wzgórzu

598, zdobytym poprzedniego dnia rano, na parę godzin przed klasztorem.

Tym razem udało się dojechać aż do górnego car-parku, co oszczędziło nam dużo zmęczenia i czasu, zwłaszcza że Rubel ma jedną nogę słabą (po złamaniu) i chorobę przestrzeni. Swoją drogą podziwiałem, jak łazik piął się po tej wściekle stromej serpentynie, ale się piął.



Kapral Emil Czech gra hejnał mariacki, ogłaszając zwycięstwo pod Monte Cassino, fot. Pinterest.

My tymczasem doszliśmy normalnie do „Bramki”, stamtąd ścieżką pod górę i niezadługo znaleźliśmy się pod grzebieniem zza którego nacierali nasi ułani. Czuć tam było jeszcze silnie atmosferę niedawnej walki. Kamienie zarzucone częściami umundurowania, odłamkami pocisków i granatów ręcznych, gilzami, niewypałami, częściami broni. Tu i ówdzie leżało jeszcze kilka trupów. Oto dwaj nasi żołnierze spaleni przez leżący obok, już zniszczony, niemiecki miotacz płomieni. Jeden leżąc szczerzy z wypalonych ust złote zęby, drugi, prawie na czarno zwęglony, pół siedzi w jakimś strasznym skurczu. A oto pokazują tzw. bunkier niemiecki. Dziura w skale dość głęboka, przykryta zo(*nieczytelne)* tylko szczelina szerokości 20-30 cm, ale skierowana ku górze. Żeby z tego strzelać, trzeba wyleźć, albo co najmiej mocno się wychylić.

Ze wszystkiego widać, że tu, gdzie stoimy, musiała się odbywać rzeczywiście walka prawie wręcz, na niezmiernie bliską odległość. Po ziemi leżą liczne zawleczki od ręcznych granatów – rzucanych przecież nie dla ćwiczenia. Oglądamy szereg stanowisk, gdzie leżeli Niemcy, gdy już nasi zajęli sam szczyt – są

to wnęki może o metr lub dwa za krawędzią skalną okalającą szczyt, a więc o kilka lub kilkanaście metrów od stanowisk, gdzie już byli nasi. Jedni leżeli po jednej, drudzy po drugiej stronie wysokiej na kilkadziesiąt cm krawędzi i rzucali do siebie granatami nie mogąc się podnieść, bo każde wychylenie się oznaczało śmierć.

A za krawędzią z prawej strony – dość stromy spadek w dolinę pośrodku której bieleje spora ruina obok której stoi parę unieruchomionych czołgów – to właśnie Masseria Albaneta, klucz całej pozycji. Oczywiście, łatwo powiedzieć: klucz, ale przecie nikt by się tam długo nie utrzymał mając nieprzyjaciela na 593 i na San Angelo widocznym z drugiej strony. A więc kluczem są te trzy punkty łącznie, czy też dla otwarcia tej górskiej bramy potrzebne są trzy klucze. Ale zdobywanie Albanety, gdy jeszcze ani S. Angelo, ani 593 nie były opanowane w zupełności, to rzeczywiście, na oko sądząc, zadanie dla szaleńców. Dlatego tyle kosztowało i dlatego mogło się udać tylko pod osłoną nocy i czołgów.

Strzelanina już tego dnia była znacznie odleglejsza, dymy wykwitały na zboczach Monte Cairo, gdzieś w kierunku Passo Corno – bardziej w lewo od Piedimonte.

Po długiej, żałosnej wędrówce dotarliśmy wreszcie do dolnego car-parku wyglądając jakiejś okazji. Tym razem udało się, bo nie

wiadomo dlaczego dwaj Anglicy, którzy byli z nami, a zjechali w dół już przeszło godzinę temu, jeszcze nie odjechali i uprzejmie zaproponowali nam miejsce. Dowieźli nas do sztabu III dywizji. Tam zjedliśmy podwieczorek w towarzystwie gen. Ducha i ppłk. Piątkowskiego i dostaliśmy łazika na dalszy powrót.

Nazajutrz kończył się nasz tygodniowy wypad. Rano pojechaliśmy jeszcze do I rzutu podziękować za opiekę i pomoc, na obiedzie spotkaliśmy majora Czapskiego i kapitana Gierata, którzy przyjechali osobowym samochodem i z nimi wróciliśmy bez przygód do Neapolu.

Józef Poniatowski (1897-1995) ekonomista, redaktor naczelny „Orła Białego” na Bliskim Wschodzie i we Włoszech (1942-1944), Minister Spaw Krajowych w gabinecie dr Stanisława Ostrowskiego w Londynie.

Polska Wiosna Teatralna we Lwowie



„Nowe szaty króla”, fot. Aleksander Kuśnierz

Anna Gordijewska

Na Polską Wiosnę Teatralną przyjechały znane już lwowskiej

publiczności amatorskie zespoły teatralne z Wilna i Wędryni. Po raz pierwszy na tegorocznym festiwalu gościł Teatr AA Vademecum z Wiednia. Gospodarz wydarzenia – Polski Teatr Ludowy – przedstawił swoją nową premierę.

W tym roku w festiwalowym repertuarze górowały komedie. Gwiazdą siódmej edycji Wiosny był słynny polski aktor teatralny Stanisław Górka. Impreza odbyła się w dniach 21–24 kwietnia 2017 roku w Pierwszym Ukraińskim Teatrze Młodego Widza, w Lwowskim Obwodowym Teatrze Lalek, w Teatrze im. Lesia Kurbasa oraz Obwodowym Domu Nauczyciela. Organizatorem 7. Polskiej Wiosny jest Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie.



„Boeing Boeing”, fot. Anna Gordijewska



„Boeing Boeing”, fot. Anna Gordijewska

Festiwal zainaugurował Zespół Teatralny im. Jerzego Cieńciały z Wędryni, który wystawił sztukę „Boeing, Boeing” francuskiego pisarza Marca Camolettiego w reżyserii kierownika tegoż zespołu Janusza Ondraszka. Ta komedia trafiła do księgi Guinnessa za rekordową ilość wystawień, została zagrana w 55 państwach. Główny bohater Maks dokładnie zapisuje godziny odlotu i przylotu samolotów, ponieważ jego trzy dziewczyny – Johana, Jola i Janet – są stewardessami, ale pracują w różnych liniach lotniczych. Młody podrywacz trzech damskich serc obiecuje każdej ożenić się z nią. Jego system randek działa sprawnie, samoloty przylatują i odlatują, a wraz z nimi narzeczone. Ale jak to w życiu bywa, nie wszystko działa jak w zegarku, po zmianie rozkładu lotów wszystkie niewiasty naraz zaczęły wracać do mieszkania swojego ukochanego. Do Maksa wpada jego kuzyn Paweł, który szybko zorientował się, że coś jest nie tak i wraz z gosposią Nadią (w rolę której wspaniale wcielił się Janusz Ondraszek) pomagają mu wyjść z niejednoznacznej sytuacji.



„Nowe szaty króla”, fot. Aleksander Kuśnierz



„Nowe szaty króla”, fot. Aleksander Kuśnierz

Podczas Wiosny nie zabrakło spektaklu dla najmłodszych widzów. „Nowe szaty króla” Hansa Christiana Andersena – wyreżyserowane przez Lilię Kiejzik – to tegoroczna pozycja festiwalowa Polskiego Studia Teatralnego w Wilnie „Teatr Studio”. – Jesteśmy zadowoleni, że Lwów znów potrzebował bajki. Baśnie Andersena to klasyka, która jest zawsze aktualna – powiedziała w rozmowie z KG kierownik zespołu Lilia Kiejzik. W sztuce zagrali młodzi chłopcy 12 i 13-latkowie wraz z dorosłymi aktorami. Cieszymy się również, że mogliśmy przyjechać do Lwowa. W październiku kolejne nasze spotkania teatralne odbędą się w Wilnie. Mamy możliwość pojechać gdzie indziej, ale zawsze najchętniej wracamy do Lwowa…

W drugim dniu debiutant festiwalu Teatr AA Vademecum z Wiednia zagrał „Seksmisję” w oparciu o scenariusz Juliusza Machulskiego w reżyserii Agnieszki Salamon. Film Machulskiego z lat 80. do dziś należy do jednej z kultowych komedii kina polskiego. Główni bohaterowie, przeżywszy wojnę atomową, po obudzeniu się trafili do podziemnego państwa, gdzie mieszkają i rządzą tylko kobiety. Była to bardzo interesująca propozycja wiedeńskiego zespołu, tym bardziej, że żaden z teatrów dotychczas nie podjął się zagrania tej komedii na scenie. – Na pomysł z „Seksmisją” wpadłam w bardzo prosty sposób – powiedziała Agnieszka Salamon. – W zespołach amatorskich jest wiele pięknych i zdolnych kobiet, i mało jest sztuk, gdzie jest

dużo kobiecych ról. Ponieważ „Seksmisję” wszyscy znają i ja też (chociaż miałam wówczas 5 lat), pomyślałam, że jest to idealny materiał, żeby obsadzić w nim dużo kobiet, żeby wszystkie miały dużo do grania na scenie. Spróbowaliśmy otrzymać prawa autorskie od Juliusza Machulskiego, a przyznam, że nie było to łatwe. No i udało się! Jesteśmy po grudniowej premierze we Wiedniu i po wiosennej lwowskiej – dodała.



„Seksmisja”, fot. Aleksander Kuśnierz

Natomiast dyrektor Teatru Vademecum Beata Maciejczuk-Paluch była zaskoczona lwowską publicznością, która żywo i

spontanicznie reagowała na grę aktorów. – Spotkało nas tutaj fantastyczne przyjęcie, którego nie spodziewaliśmy się – zaznaczyła. Dziękujemy bardzo całemu zespołowi Teatru Polskiego we Lwowie za to trudne logistycznie przedsięwzięcie. Chcielibyśmy coś podobnego zorganizować u nas w Wiedniu i mamy nadzieję, że polski teatr ze Lwowa ponownie zawita do nas i pokaże coś równie ciekawego. Znakomicie, że nasze marzenia spełniły się i że jesteśmy na tym festiwalu teatralnym, o którym już słyszeliśmy wcześniej – powiedziała.

W niedzielę, 23 kwietnia, Polski Teatr Ludowy ze Lwowa zaprosił gości i widzów do swojej skromnej widowni na komedię Dario Niccodemi „Scampolo". Powojenna premiera przedstawienia, ale z podtytułem „Świderek", miała miejsce we Lwowie przy ul. Zimorowicza 17 w Teatrze Małych Form 5 kwietnia 1946 roku. W tym przedstawieniu Bogusława Michna-Czosnowska (obecnie mieszka w Szczecinie) zagrała tytułową rolę – Świderka, po 71 latach w rolę Scampolo wcieliła się Wiktoria Słobodiana. Zbigniew Chrzanowski, który wyreżyserował tę sztukę, wystąpił jako Nieznajomy, w tej samej roli, którą przed laty zagrał jego wujek – Stanisław Krzanowski. Zbigniew Chrzanowski marzył o wystawieniu tej komedii, ale okazało się, że nikt nie ma tekstu. Po długich poszukiwaniach, w zbiorach Ossolineum we Wrocławiu odnaleziono rękopis suflera teatralnego.

Podsumowując 7. Edycję Wiosny Teatralnej współorganizator

tego festiwalu Zbigniew Chrzanowski powiedział o tym, że te trzy dni – spektakle, spotkania, relacje z publicznością – przeminęły jak jeden moment. – Spotykamy się ze sobą od wielu lat, myślę o Wilnie i Wędryni. A teraz dołączył do nas nowo poznany teatr Vademecum z Wiednia. Wszystkie zespoły grały wspaniale! Staramy się do każdej edycji teatralnej zaprosić również osobę, która będzie ozdobą, punktem odniesienia, wysokiego kunsztu, pięknego artyzmu. W ciągu wielu lat zawsze nam się to udaje. Lwowska publiczność jest bardzo chłonna, wrażliwa i bardzo chętnie przyjmuje nasze propozycje – dodał.

Powieść Romain Rollanda „Colas Breugnon" przywiózł Stanisław Górka, znakomity aktor teatralny i reżyser. Stanisław Górka jest profesorem i wykładowcą Akademii Teatralnej w Warszawie, a także dyrektorem Towarzystwa Teatralnego „Pod Górkę". Ten wzruszający monodram w jego wykonaniu bardzo przypadł do serca lwowskiej publiczności. W przedstawieniu zabrzmiały piosenki Georgesa Brassensa w tłumaczeniu nieodżałowanego Wojciecha Młynarskiego pod nagrane dźwięki fortepianu w wykonaniu Jerzego Derfela. Wszystko to stworzyło niepowtarzalną atmosferę w dawnym teatrze Bagatela, niegdyś Casino de Paris, gdzie występowały różne kabarety, a także śpiewała Hanka Ordonówna – obecnie jest to Teatr im. Lesia Kurbasa.



„Colas Breugnon”, Stanisław Górka, fot. Aleksander Kuśnierz

W wywiadzie dla „Kuriera Galicyjskiego” Stanisław Górka powiedział, że spektakl „chodził za nim” od wielu lat. Wybrał ten tekst, ponieważ ma on dla artysty pewne urzekające przesłanie, ważne dla dzisiejszego współczesnego człowieka. – Romain Rolland miał wiele spraw przemyślanych i dużo wiedział o naturze ludzkiej – powiedział. – Stworzył postać Colas Breugnon, człowieka, który dźwigając się z nieszczęścia, z upadku, tracąc wszystko, zostając nędzarzem, mimo wszystko znajduje sens życia. Zachował godność i zachował szczęście. Wiemy, że jest to książka o dziwnej mocy, dzięki której wiele

osób przeżyło czasy stalinowskie, II wojnę światową, holocaust, okupację, czasy pogardy i nieszczęść. Ta książka działa w sposób cudowny, ponieważ dodaje nam sił. Są ludzie, którzy czytają ją w kółko, są jak gdyby od niej uzależnieni. Powieść ładuje akumulatory, uspokaja i przywraca wiarę w świat i ludzi, w człowieczeństwo – dodał Stanisław Górka. Główne motto tego przedstawienia, jak mówi Romain Rolland: „Im mniej posiadam, tym jestem bogatszy, bo umiem żyć szczęściem innych ludzi". Artysta grał ten spektakl na Florydzie i był zdruzgotany świadomością tamtejszej publiczności, która patrzy 20 lat do przodu. – A my jeszcze tego nie wiemy, gonimy tu we Lwowie, w Warszawie, zadręczamy się, zamartwiamy się. A przecież nie na tym polega życie. Rolland daje prostą receptę na życie. Chcesz być szczęśliwy? Zostaw to wszystko! Znajduj szczęście w najprostszych rzeczach – w przyjaźni, smakowaniu jedzenia, życia i wina też.

Zakończyła się 7. Polska Wiosna Teatralna we Lwowie. Mimo niskiej temperatury, jak na tę porę roku, w czterech różnych salach widowiskowych teatrów lwowskich było ciepło, a wręcz gorąco od emocji, wspaniałej gry aktorów, brawurowych oklasków publiczności, niezapomnianych i wzruszających spotkań i przemyśleń tego, co zobaczyliśmy na scenie. Spotkali się ze sobą Polacy, mieszkający poza granicami Ojczyzny, którzy poprzez swoją pracę społeczną i poświęcenie nieustannie wnoszą wkład w kulturę polską w krajach swego zamieszkania i których

łączy magiczne słowo – Teatr.

Źródło: Kurier Galicyjski, http://www.kuriergalicyjski.com

Tekst ukazał się w nr 8 (276) 28 kwietnia – 15 maja 2017

Jazz romantyczny



Adam Fiala

Felieton muzyczny 1

Wszystko co poważne lubi się zaczynać od nonsensu bądź banału. Ponoć jako dziecko gdy słyszałem gwiżdżącego wuja Gieńka to płakałem. Wuj grał także na trąbce, była złocista, później kojarzyłem ją z trąbką Luisa Amstronga.

Ale pierwsze lekcje gry na pianinie, wyszabrowanym przez ojca na Ziemiach Zachodnich rozpocząłem już jako uczeń czyli przekroczyłem wiek niezbędny dla tak zwanego cudownego dziecka. Robiłem szybkie postępy, ale nauka prywatna ma to do siebie, że nauczyciel skupia się na samej grze, pomijając zupełnie teorię muzyki. Obecnie więc jestem rodzajem kompozytora, który wprawdzie potrafi przeczytać nuty ale nie jest zdolny by ją napisać. Robiłem wtedy tak szybkie postępy mając naturalną łatwość poruszania na klawiaturze palcami, że wkrótce potrafiłem zagrać nie tylko wczesne Polonezy Fryderyka Chopina, tak zwane *juvenalia* ale dorwałem się do Mazurków. Łatwo było wtedy kupić całkiem tanio pięknie wydane zbiorowe dzieła tego kompozytora pod redakcją Józefa Ignacego Paderewskiego.

Wuj Tadeusz, adwokat, dzięki któremu odbywałem te lekcje spojrzał na Mazurki i powiedział, że mogę je łatwo grać bo zapis nutowy nie jest zbyt czarny. Wuj był rozkosznym dyletantem w dziedzinie sztuki i znakomitym adwokatem w tym sensie że przepadali za nim klienci. No i wygrywał sprawy, pobierając pieniądze, które mu się naprawdę należały. W tym okresie adwokaci pracowali w tak zwanych zespołach, Wuj nazywał je zespołami. Nie miał całkowitej racji. Mazurki były tylko pozornie łatwe. Akordy lewej ręki harmonizującej z prawą, obejmowały ilość klawiszy, zarówno białych jak i czarnych, przekraczającą możliwości moich rąk. Obecnie znawcy także twierdzą, że

Mazurki przez swą pozorną prostotę są bardzo trudne interpretacyjnie.

Tak więc grałem lepiej czy gorzej głównie Chopina, a potem miałem bardzo długą przerwę i wróciłem do muzyki kiedy przypadkowo znalazłem w Perth na dorocznej wystawce rzeczy zbędnych zupełnie dobry keyboard. Oczyściłem, włożyłem baterie i *voila.* Instrument miał to do siebie, że nie wymagał strojenia. Moje dawne pianino było koszmarnie rozstrojone, ktoś twierdził, że nadawało się do muzyki w barach czy saloonach. I to mnie zastanowiło. Postanowiłem stworzyć coś w rodzaju Jazzu romantycznego, paradoksalnie nawiązującego do muzyki Chopina. Wydaje się to nonsensem. Niezupełnie. Kiedyś w jednej z muzycznych audycji telewizyjnych zauważyłem jak Duke Elington uderzył kilka akordów i powiedział: “ale to jest poezja”.